

Rafał

Różewicz

LAND



RAFAŁ RÓZEWICZ

L A N D



WYDAWNICTWOJ / WROCŁAW 2022

Gdy Helga siedziała tak przy oknie w kuchni, a Karl wygrzebywał się z łóżka, Sophie po raz kolejny spojrzała na portret Führera, który wisiał nad drzwiami ich jedyne go pokoju. Od kilku dni biła się z myślami, czy nie będzie lepiej, jeśli go zdejmie. Wiele ryzykowała swoim niezdecydowaniem. Wódz już nie żył, wojna była skończona, a Ruskie mogli przecież w każdej chwili tutaj przyjść i wykorzystać każdą okazję, żeby wepchnąć Sophie swojego siura. Co to, to nie, Sophie nie chciała, żeby Führer, ten prawdziwy apostoł czystości, ożeniony z Niemcami, widział to ze ściany. W ogóle nie miała zamiaru oddać się żadnemu bolszewikowi. Jej sąsiadki zaczęły się już organizować, tworzyć coś w rodzaju sąsiedzkiej ligi obrony, na czele której stała Martha Rüger z klatki obok. Sophie, rzecz jasna, również była członkinią ligi, i w razie gdyby Ruskie pojawili się w pobliżu z siurami falującymi na wietrze, miała szybko biec do piwnicy Marthy Rüger, jednej, wielkiej, wspólnej piwnicy, którą niedawno zaimprovizowano z kilku mniejszych. Karl z Helgą mieli zaś siedzieć cicho w swojej toalecie na półpiętrze i nie otwierać drzwi pod żadnym pozorem. Sophie chciała oszczędzić dzieciom widoku Sowietów wyciągających swoje klejnoty, swoje skarby, jak uliczni handlarze rozwijający przed klientami dywany ze świecidełkami. Wierzyła, że tam, na półpiętrze, iwany im nic nie zrobią, bo przecież oni podobno nie znają toalet.

Podjęła decyzję.

– Helga, Karl, umyćcie ręce, szybko!

Sophie dbała o czystość swoich dzieci. Od zawsze wpajała im, że dbanie o higienę odróżnia ich od tych, którzy nie zasługują na to, aby nazywać ich ludźmi. Dlatego zawsze sprawdzała ręce Heldze i Karlowi, a jeśli coś było nie tak, ponownie wysyłała ich pod kran. Helga niejednokrotnie płakała, kiedy matka siłą wpychała jej ręce pod wrzącą wodę. To była kara za niedochowanie czystości Führerowi, który surowo patrzył na nich ze ściany.

Helga tym razem potulnie zeskoczyła z krzesła i podbiegła do kranu. Potem ręce umył Karl, który właśnie przyszedł do kuchni. Sophie uśmiechnęła się. Może ta wojna nie poszła jednak na marne, skoro jej dzieci nauczyły się dyscypliny? Już zawsze będą czyste, już zawsze będą się odróżniały od Słowian. Poczwała ulgę. Bo woda, choć zimna,

na szczęście wciąż była. Tylko uliczne latarnie nie świeciły z powodu wyłączenia elektrowni.

– A teraz stańcie, proszę, tutaj – powiedziała. – Stańcie, proszę, ze mną w szeregu, żeby po raz ostatni pozdrowić naszego Wodza Adolfa Hitlera, któremu przysięgamy, że do końca naszych dni będziemy wierni ideałom narodowego socjalizmu. Sieg Heil!

– Sieg Heil! – wszyscy zgodnie podnieśli wyprostowane prawe ramię.

Następnie Sophie kazała Karlowi zdjąć portret. Łzy pociekły jej po policzku. Sama bała się popełnić tę zbrodnię. Karl jednak był jeszcze młody, swoimi czynami w przyszłości na pewno odkupi winy.

– Karl!

– Już zdjąłem – odparł cicho chłopak. Ręce mu się trzęsły. Był przerażony tym, co właśnie zrobił. Wymazał Wodza z pamięci rodziny. Po portrecie pozostał na ścianie tylko ciemniejszy prostokąt.

– Słyszałeś?

– Ale co? Mam zawiesić z powrotem?

– Pociąg. Słyszałam gwizd lokomotywy – Sophie szybko podeszła do okna w kuchni.

– Mamo, przecież wiadukt został wysadzony.

– Co?! Kiedy?

– Chodzą pogłoski. Nic tędy nie przejeżdża.

– Przecież wyraźnie słyszałam.

– Mamo, został wysadzony.

– Skąd wiesz?

– Nasi wysadzili w Leeden. Tak powiedział pan Martin.

Sophie jakby nie rozumiała. Karl ukradkiem spojrzął na swoje ręce. Były czyste, delikatne i suche. A kuchnia wprost lśniła.

Neumannowie zawinęli portret Führera w najczystsze koszule, jakie mieli, i schowali go na samym dnie szafy.

Wspólna toaleta zaanektowana przez Polaków na hodowlę gęsi coraz bardziej doprowadzała Sophie do wściekłości. Ci z naprzeciwka niczego się nie domyślali i nadal schodzili ją karmić, zmuszając Neumannów do uległości. Podyktowanej lękiem przed wszami, brudem, tyfusem, wszystkimi zarazkami świata przenoszonymi wszystkimi możliwymi drogami. Pewnego razu Sophie, czyszcząc wiadro Helgi, spytała Karla:

– Słyszysz, jak leci?

Woda w kranie to była jej zdaniem cywilizacyjna zdobycz, z którą Polacy nie umieli się obchodzić. Karl niekiedy rzeczywiście słyszał, jak leciała za ścianą. Czasem ktoś po drugiej stronie odkręcał zawór i strumień płynął wtedy przez długie minuty. Ze szklanką przy uchu Karl wyobrażał sobie, że młody Kowalik w tym samym czasie patrzył na ten strumień z niedowierzaniem i wkładał w niego palce. Woda rozpryskiwała się delikatnie na boki. Bo pokonywanie kilku stopni naraz bez wywrotki świadczyło zdaniem Karla o pewnych zdolnościach, o chodzeniu na łąność. Przez co nabrał do młodego Kowalika szacunku i był pewien, że tamten maczał nie tylko palce, ale wsuwał też w strumień całą rękę.

To był zwykły dzień. I zwykłe przydrożne chwasty, w które czasem człowiek się zaplątuje, żeby wyciągnąć fujarę i robić za przelotny deszcz. Zanim w nie trafił, Edek zapierniczał na rowerze, ile się dało. Chciało mu się potwornie łąć. Wcześniej kilka razy oberwał kamykami rzuconymi przez niemieckich rówieśników. Po nowym scyzoryku nie było śladu, Edek chciał wierzyć, że stracił go w walce, ale wszystko wskazywało na

to, że po prostu wypadł mu z kieszeni podczas ucieczki, tak jak ten pierwszy, zgubiony w podobny sposób gdzieś w pociągu pod Oleśnicą. Ale nie po to Edek miał rower marki Adler, żeby od czasu do czasu nie wybijać się po kamolach w powietrze.

A wyglądało to tak. Dotarł do granicy miasta. Był na skraju nie tylko Nowej Rudy, ale i swojej wytrzymałości. Miał wtedy jeszcze scyzoryk, pamiętał dobrze, wymacał w kieszeni jego kształt. Roweru zamierzał bronić do końca. Nie odda go tej szajce, to będzie walka do ostatniej kropli krwi, a nie sików, poprzysiągł sobie, choć od tego trzymania robiło mu się żółto przed oczami. Wyciągnął scyzoryk. Obstawiał, że największy rzuci się na niego pierwszy, z wcześniejszych spotkań twarzą w twarz dobrze zapamiętał jego mordę pełną syfów i wielkie łapska. I pewnie by tak było, gdyby w oddali nie rozległ się strzał. Największy oprych zawahał się i stanął w miejscu, jakby postrzelony. Po chwili padł drugi strzał. Oba dobiegły od strony domów, które niedawno zostały z powrotem zamieszkane przez ludzi posługujących się takim szeleszczącym językiem, że aż strach. Edek miał nadzieję, że to wystraszy napastników.

Kiedy dostał pierwszym kamieniem, rozległ się trzeci strzał, tym razem znacznie bliżej. Chłopcy usłyszeli krzyk. Ponownie znieruchomieli. Edek wykorzystał ten moment zawahania. Szybko schował scyzoryk do kieszeni, wsiadł na rower i zaczął pedałować z całych sił. Największy oprych krzyknął coś, jakby dawał pozostałym sygnał do ataku. Edek nabierał już prędkości. Czuł jednak, że hitlery za nim też. Drugi kamyk trafił go w tydkę, przez co prawie stracił równowagę, poczuł, że coś wyleciało mu z kieszeni, ale postanowił się nie zatrzymywać. Od ciśnienia w portkach ciemniało mu w oczach. I nie był pewien, czy tylko mu się wydawało, czy czwarty i piąty strzał rozległ się naprawdę.

Jego adler frunął w powietrzu. W pewnym momencie Edek uświadomił sobie, że nikt już go nie goni. Kamienie rozpryskiwały się na boki pod ciężarem kół roweru. Za nim była już tylko cisza.

Zatrzymał się. Rozejrzał. Przy drodze rosły chwasty. Uziemił adlera i ruszył w ich stronę. Zamknął oczy. Wyciągnął gamonia. W dole brzucha zrobiło mu się ciepło, usłyszał dźwięk, który słyszy ogrodnik, kiedy podlewa krzewy. Otworzył oczy, żeby skontrolować trajektorię, i zobaczył na ziemi coś okrągłego. Było mokre od jego sików. Podskoczył z przerażenia, a gamoń uwolnił się z ręki jak ptak, który wyfruwa z klatki na

wolność. Edek stracił kontrolę nad strumieniem, potknął się i upadł na plecy. Zaczął czołgać się na nich do tyłu. Gamoń latał na boki i Edek oszczał sobie portki. Przeklął.

Spojrzał jeszcze raz. Zobaczył leżącą na ziemi głowę, twarzą zwróconą w jego stronę. Z ust wystawał język. Edkowi odebrało mowę, nawet nie zauważył, kiedy siki przestały lecieć. Poczuł, że za chwilę wyleje mu się z ust coś innego. Rzyg, wymiot, wszystko, co miał w sobie tego dnia, podchodziło właśnie do gardła. Pedałowało od środka. Jakby miniaturowy adler w jego wnętrzu szybko pokonywał strome zbocze.

Karl, rzecz jasna, zamiast studebakerów dogonił tylko kurz po nich, unoszący się jeszcze nad piaszczystą drogą. Ale poznał, w którym kierunku się udały. Na niebie jakieś ptaszysko latało nad okolicą jak samolot zwiadowczy. Promienie słoneczne ładnie odbijały się od jego skrzydeł. A więc szykowała się jatka na przełęczy, ci ludzie na pakach wyglądali na napakowanych.

W pewnym momencie zobaczył zbliżającą się w jego stronę postać na rowerze. Pędziła w kierunku przełęczy. Mięśnie nóg mocno pracowały i Karl dość łatwo rozpoznał gościa, którego już kilka razy widział na mieście, podobnie jak jego słynny rower. Adler. Zbliżał się lotem błyskawicy. Adler należał wcześniej do takiego jednego Markusa, którego Karl zbytnio nie lubił. Nie za ten rower, którego wszyscy mu zazdrościli, tylko tak ogólnie, za samo istnienie. Jak to bywa czasem w szkole – nie lubi się kogoś tylko za to, że łązi po korytarzu i podczas mijanki uderza z bara. Za całokształt się nienawidzi. Karl, który nie miał takiej pary w łapach, wyobrażał sobie, jak zrzuca Markusa z roweru i ucieka mu migiem, czym ośmiesza go na oczach całej budy. A Jutta i inne cyncate laski to widzą i już się lepią do Karla, prosząc go o wspólną przejażdżkę.

A teraz popindalał sobie na nim ten Polaczek, bo kiedy Ruskie wkroczyli do Neurode, ojciec zagonił Marcusa wraz z siostrą i matką do lasu i tam zastrzelił chłopaka jako pierwszego, na oczach pozostałych, potem kobiety, a na końcu siebie. Byleby nie wpaść w czerwone łapy.

Karl, wiedziony nagłym impulsem, wyszedł naprzeciw nadjeżdżającego z impetem Edka. Ten zahamował, zaskoczony nagłym pojawieniem się młodego Szwaba, którego widział raptem kilka razy. Stanęli naprzeciw sobie jak kowboje na Dzikim Zachodzie. Edek, zbity z tropu, wahał się, czy ruszyć dalej. Przeklął w myślach, zły na siebie, że zapomniał o procy. Poruszył stopą w piasku. Mocniej ścisnął kierownicę. Na wyminięcie Karla było za późno.

– NIE DAM, NIE DAM!!!

Karl szybkim ruchem chwycił oburącz kierownicę. Przez chwilę się mocowali, bo Edek za nic nie chciał jej puścić. Próba sił odbywała się pod okiem ptaszyska, które krążyło nad nimi, jakby liczyło na ofiary, datki w postaci ludzkiego mięska. Były jednak tylko pot, krew i łzy Edka, bo zaczął już ryczeć i w jakimś akcie rozpaczony zamachnął się na Karla, ale ten zrobił unik i wziął Edka za fraki, a następnie zrzucił z roweru.

– Das ist Markus' Fahrrad – zasyczał Karl, wcale nie licząc na to, że tamten cokolwiek zrozumie. Edek leżał na ziemi i kwiczał jak zarzynana świnia, pokonany, choć nie dostał nawet bombki. Jedynie ubranie miał wygniecione i zakurzone.

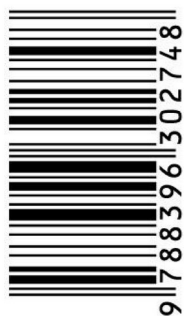
Karl wsiadł na rower. Edek szybko wstał, próbując odzyskać adlera, ale Karl sprzedał mu kopniaka na pożegnanie i odjechał. Zaryczany Edek ruszył za nim w pogoń, przeklinając się za karygodne braki w uzbrojeniu: ani jednego scyzoryka, ani drugiego, ani procy. Z kolei Karl z rozbawieniem oglądał się za siebie, zadowolony, że tak załatwił Polaczka, który biegł jeszcze za nim ile sił w nogach, choć nie miało to najmniejszego sensu. Ptaszysko, chyba jastrząb albo myszołów, zniżyło pułap i pofrunęło za Karlem, pozostawiając Edka w tyle, wraz z jego porażką i rozpaczą.



WYDAW
NICTWO

WWW.WYDAWNICTWOJ.PL

cena 40 zł




WYDAW
NICTWC

Patronem medialnym
jest Radio Wrocław Kultura

 **RADIO**
WROCLAW
K U L T U R A



Partnerem wydawniczym książki
jest Wrocławski Instytut Kultury
w ramach Wrocławskiego
Programu Wydawniczego

Wrocław
miasto spotkań